

Woda daleko niosła głos, wibrujący, gardłowy śpiew tryntyjskich górali. Było ich tu niewielu, tyłu ilu przyprowadził Herstein Borgh Du, ale ich obecność mocno zaznaczała się w całym obozie. Także dlatego, że wzbudzała nie zawsze pozytywne emocje, ludzie byli i tak w bojowych nastrojach, nietrudno było o bójkę czy całkiem poważne mordobicie. Wtedy jeszcze mało kto považał młodego watażkę z północy, cóż on mógł ze swoją pół setką ludzi...

Brynjolf uśmiechnął się do swoich myśli. Gdybyśmy wtedy wiedzieli, pomyślał. Gdybyśmy wiedzieli, miałby ochronę potężniejszą niż sama księżna, nie dalibyśmy mu umrzeć...

Gdyby tylko...

Zimny, przenikający ciało do kości wiatr złośliwie podrzucał krawędź zbyt cienkiego płaszcza i wydmuchiwał resztki ciepła. Tryntyjczyk zadrżał, ale potrząsnął głową i zacisnął zęby, nie chcąc sam przed sobą przyznać, że może to nie tylko zimno. Nasłuchiwał jeszcze przez chwilę, próbując rozeznaczyć, czy to tylko wiatr czy może jednak wśród wycia słychać coś więcej. Głosy, wizg koni, szczekanie psów. Pogoń była niedaleko. Uniósł głowę, by raz jeszcze spojrzeć na zarysowane nad horyzontem krawędzie gór, po czym owinął się szczelniej płaszczem i wtulił głębiej między korzenie olbrzymiego buka.

„Nad tryntyjskie wzgórza, nad tryntyjskie szczyty, aż słońeczko wstanie” zawyło mu w głowie wibrującym głosem Ingraine. Zza mgły załśniły jej czarne oczy, jej oceniające spojrzenie.

- Arden zawsze zwycięskie! – zakrzyknął radośnie jeden z Wergundów, nomen omen imieniem Arden właśnie, pewnie dlatego tak go bawiła ta gra słów. Sigbert uśmiechnął się krzywo ponad płomieniem ogniska.

- Ha- ha – mruknął z przekąsem do siedzącego obok Hakona – Wygrajcie najpierw tę bitwę może...

- Nie bój, Tryntyjczyku – krasnolud ze stoickim spokojem zdjął wiszący na kutym trójnogu garnek z grzańcem. Gołą ręką. Noc była chłodna, a parujący z cynowych kubków aromatyczny trunk rozgrzewał i poprawiał morale.

Hirdy książęce stały pod Arden już trzeci tydzień. To była ta najbardziej karna część tryntyjskiej armii. Podporządkowane bezpośrednio rozkazom lairda, wyszkolone i świetnie wyposażone były chlubą i chwałą Żelaznej Korony. Stały teraz w równo rozłożonych wokół zamku obozowiskach, każdy pod sztandarem swojego hirtu, a wszystkie pod łopoczącym na wieży ardeńskiej warowni złotym gryfem, gryfem Tradamonitów, gryfem Rangveig, gryfem Leifa. Wszystkie... oprócz tych z Wysokich Ziem. Wysoczyzna nie przysłała swoich wojsk. To także generowało spięcia między ludźmi, jednak podstawową przyczyną było czekanie. Ufortyfikowany brzeg pozwalał tylko obserwować, jak gromadzą się armie Qa. Nocami płonęły ognie ich obozowisk – aż po horyzont, nieprzebrane mrowie ludzi. I czekali. Nikt nie wiedział, na co.

Za rzeką zostały nasze uzbrojone po zęby zamki, fortece i umocnienia, bronione przez hirdy klanowe, czyli pozostałą część sił każdego klanu. A jednak brał strach...

- Patrz, tyle czasu już stoją na drugim brzegu, zbierają się, ważą możliwości. Gdyby rzeczywiście mieli tak przygniatające siły, to rzuciliby się do szturmowania od razu, z marszu, znieśli by nas w puch. A tak... jakoś się ich nie boję – dokończył krasnolud, wywołując pełne aprobaty komentarze towarzyszy. Tylko Miori uniósł poważne spojrzenie znad rzeźbionego z nudów kawałka drewna.

- Powinieneś – mruknęła Ingraine cichym, poważnym głosem – Powinieneś...

- Obyś nie powiedziała w złą godzinę, panienko – zanim Ingraine zdążyła ofuknąć go za „panienkę”, za rzeką nagle, niosąc się niepokojącym pogłosem po szeroko rozlanych wodach Rany, rozległy się bębny. Wszyscy jak jeden mąż zerwali się na nogi. Liczni Wergundowie, przesiadujących regularnie w obozowisku hirtu Sliabh Ard, skoczyli do leżących obok tarcz i pawęży, dowódcy

huknęli komendy. Żołnierze VI kondotierskiej i III kohorty pobiegli do swoich, dopinając w biegu broń i poprawiając uchwyty na tarczach.

- Ustawiaj naszych, na co czekamy....! – krzyknął nerwowo Bryn. Ingraine, jako hevding, dowodziła hirdem księżącym z racji stażu i wyszkolenia, ale także urodzenia, była ostatecznie kuzynką jarla. Wielu w hirdzie dorównywało jej pochodzeniem i utytułowaniem, a kilku przewyższało, jej komendę przyjmowali z powodu doświadczenia i umiejętności.

Teraz wszyscy już widzieli poruszenie wśród ogników po drugiej stronie rzeki.

– Szturm idzie!

- Wreszcie – skwitował Sigbert, mocując tarczę na przedramieniu – Wreszcie coś się rozstrzygnie.

- Czekaj... – Ingraine wpatrywała się w poruszające się wolno ogniki – Czekaj, mówię. To nie szturm.

- Co?

- To nie szturm. To poselstwo. Biała flaga, widzisz?

Obydwa tarczownicy znieruchomieli wypatrując, tymczasem na brzegu rozległy się już rogi i trąbki, potwierdzające ewidentnie słowa hevdinga. Poselstwo.

Gdybym wtedy wiedział, pomyślał Bryn, bezskutecznie próbując zasnąć. I co, odpowiedział głos w głowie, co byś zrobił. Może należało wtedy właśnie przyjąć tamto poselstwo i wtedy złożyć kapitulację. Oszczędzić dwa lata bezsensownej walki i wiele tysięcy istnień, a przecież i tak wyszło na to samo. I tak... Z ciemności spojrzały na niego znów ciemne oczy Ingraine pełne wyrzutu i zawziętości.

Żeby nasza śmierć miała sens, usłyszał w głowie to, co powiedziała mu na pożegnanie. Spraw, żeby nasza śmierć miała sens.

Wiatr wył i coraz mocniej targał gałęziami. Teraz już niesposób było rozróżnić upiorne potępieńcze wycie wichru od głosów pogoni.

Gdy poselstwo Qa wsiadało z powrotem do łodzi, żegnały ich jeszcze głosy pełne wojowniczości i buty. Nikt rzecz jasna nie odważył się tknąć posłów, są obyczajem, które są święte. Dlatego u zejścia na brzeg utworzył się szpaler ludzi, ciekawych zobaczyć posłańców, a i takich, którzy musieli jeszcze rzucić za nimi złe słowo.

Posel zachowywał kamienną twarz. Właściwie tak się zdawało, bo pod misternym, czarno błękitnym malunkiem, pokrywającym mu całą twarz, nie dałoby się i tak zauważyć żadnego grymasu. Olbrzymi pióropusz w tych samych barwach, zdobiony złotem i szlifowanymi kawałkami minerału, siłą rzeczy usztywniał ruchy, potęgując jeszcze wrażenie dostojeństwa i potęgi.

Nim wszedł na deski pokładu, Qa zatrzymał się na chwilę, powodując, że po tryntyjskiej stronie nieco się uciszyło. Nikt nie miał pojęcia, jakim cudem posel tego dokonał, ale jego głos zdawał się w tym momencie rozbrzmiewać w umyśle każdego z hirdmanów.

- Rozumiemy wasz upór – posel mówiąc to odwrócił się do nich, stanąwszy tyłem do rzeki – I waszą wiarę w zwycięstwo. Musicie zrozumieć jednak, że wasza wiara jest złudzeniem. Może więc to pozwoli wam zrozumieć i oszczędzi waszej i naszej bezsensownie rozlewanej krwi.

Minęło dobrych kilka chwil, zanim zrozumieli, co właściwie miał na myśli, posel w tym czasie wszedł na płaskodenną łódź i zdążył odbić od brzegu, przedtem jeszcze uniósł wysoko jedną dłoń, w której dzierżył buławę.

W mroku na tle nieba zobaczyli najpierw błysk, który przyciągnął wzrok. Gdzieś na horyzoncie, zza odległych wzgórz za rzeką. Wciąż nie rozumiejąc skupili tam wzrok i wtedy nagle, jak na jedną komendę, cały horyzont zapłonął ogniem, rozjarzył się błękitnawym światłem, w który jak krwawe ostrza wbijały się słupy czerwonego ognia. Wszędzie, jak okiem sięgnąć na południe i wschód od Arden, kraj płonął.

Umilkli. Nikt nie wznosił już okrzyków, nikt nie wyklinał ani nie groził. Poseł nie niepokojony zniknął już w pokrywającej rzekę ciemności, a oni wciąż stali zdjęci grozą upiornego widowiska. Wtedy w tym miejscu, w które wpatrywali się, śląc pozdrowienia do domu, dokładnie tam, gdzie szczyt Czarnej Kopy zasłaniał Wzgórze, i warownię na Sliabh Ard, rozległ się wysoki, niemal umykający uszom świst, a zaraz potem niebo nad wzgórzami rozbłysło oślepiającym blaskiem, rozchodzącym się koncentrycznie jak światło alchemicznego wybuchu. Nikt nigdy nie widział wybuchu o takiej sile, nie umieli więc sobie nawet wtedy wyobrazić, co mogło się stać za zasłoną czarnego szczytu.

Dzisiaj już umiemy, pomyślał Bryn gorzko. Wypalone kraterki po zniszczonych osadach, warowniach i fortach wrosły na stałe w krajobraz tej ziemi, która się nigdy nie poddała... Nie poddała... Tryntyjczyk zacisnął zęby w nagłym przypięciu złości, żalu i bezsilności. Przypomniał sobie ich twarze, gdy wrócili spod Sliabh Ard.

- Co wyście zrobili?! – Sigbert nie wystawił ich, kryjąc przed jarłami i nie ujawniając braku dziesięciu osób w hirdzie – Porąbało was całkiem, do jasnej i pieprzonej cholery?! – kilkoro winowajców, którzy trzy dni wcześniej pod osłoną nocy urwali się z obozu i przeszli na południową stronę rzeki, milczało ponuro, a pozostali nie bardzo wiedzieli, czy to przejęcie słowami dowódcy czy jednak efekt, tego, co widzieli. Sigbert był bratankiem jarła Sliabh Ard, ewidentnie zresztą szykowanym na następcę bezdzietnego Hrotgara, dlatego wszyscy z hevdingami na czele musieli się z nim liczyć, więc teraz słuchali jego pełnych szczerej irytacji słów bez sprzeciwu.

– Mniejsza o waszą niesubordynację i o to, żeśmy tu narażali łeb dla was. Wergundowie nawet próbowali wbić się w kilty, udając was... – kontynuował szlachcic spokojniejszym tonem, a siedzący zaraz obok Arden uśmiechnął się pod nosem na samo wspomnienie.

- Nie ma za co – mruknął – Daj im już spokój, zdaje się, że i tak nie jest im do śmiechu.

- Nie wkurzaj mnie, Wergundzie! Mi też nie jest do śmiechu! – Sigbert ofuknął towarzysza, ale wszyscy, którzy go znali, wiedzieli, że cały wybuch gniewu jest powierzchowny, bardziej dlatego, że sam nie mógł z nimi pójść – Mówcie! – dodał ciszej.

Przez chwilę zapadła cisza, potem zaczął mówić Thyrbjorn. Poległ potem podczas ucieczki przez las, jego fibula wciąż spinała Brynowy płaszcz. Mówił jednobarwnym głosem, bez egzaltacji, cicho. Tylko blada twarz i zaciskające się raz na czas szczęki dawały znać o tym, ile kosztuje go ten raport.

- Wysokie Wzgórze odmówiło kapitulacji. Jarl Hrotgar wyprawił z fortecy wszystkich, którzy nie byli gotowi walczyć do końca, ci się poddali. Z nimi rozmawialiśmy, żyją, są naznaczeni tylko czymś błękitnym, kazali im wyrzec się bogów. Samą fortecę uzbrojono po zęby, bronił się tam hird i wszyscy boenrdowie z ziem Sliabh Ard, razem jakieś trzy tysiące ludzi rozłożonych w głównym kasztelu i pobocznych umocnieniach. Jarl zginął drugiego dnia oblężenia, właściwie nie potrafili nam powiedzieć, dlaczego. Zasłabł nagle i runął w dół z murów. Potem okazało się, że każdy niemal z hirdmanów był czymś trzymany, jednym obiecywano, innym grożono. Zapanował chaos, ludzie nie

byli pewni, czy chcą walczyć. Ale odmówili kapitulacji. W każdym razie część odmówiła. Wtedy poszła w ruch cięższa broń, magia i Nieśmiertelni.

Nikt nie przeżył ostatniego szturmu.

To, co zostało z fortecy, otoczyli jakimś magicznym kręgiem z tych swoich niebieskich kamieni. Efekty rytuału widzieliśmy parę dni temu, ten błękitny błysk. Wszystko poszło w cholerę w tym wybuchu. Ingraine próbowała znaleźć chociaż ciała w tym pogorzelsku...

- Gdzie ona jest?

Thyrbjorn skinieniem głowy wskazał otuloną płaszczem postać. Arden ruchem ręki i spojrzeniem mówiącym „daj spokój” powstrzymał Tryntyjczyka przed ruszeniem w jej stronę. W opowieść Thyrbjorna wtrącił się Hamish Asmundson równie bezbarwnym głosem jak towarzysz kontynuując upiorny opis.

- Nie znalazła żadnych ciał. Warownia na wzgórzu, gdzie schronili się wszyscy obrońcy i ich rodziny, spłonęła do fundamentów, stopiły się kamienie, z których zbudowano wieże, nawet studnia wyparowała. Nie zostały żadne ciała. Tylko proch. Popiół. Z okolicznych wiosek, które stawiały opór, nie ocalała żadna, spłonęło też miasteczko nad rzeką. Podobno nie cierpieli bardzo, ogień był tak wielki, że to trwało chwilę, błysk, wrzaski... Tylko ci, którzy się poddali i przyjęli naznaczenie, ocalili. Oni nam opowiedzieli o oślepiającym błękitnym ogniu, którym wypalono Wzgórze. Chcieli pochować poległych, ale pochowali tylko prochy w urnach. Usypali kurhan nad nimi. Jarl Hrotgar nie żyje. On i cała jego rodzina. Nie żyje większość hevdingów. Hird klanowy wybity do ostatniego wojownika. Sliabh Ard nie istnieje...

Zapadła ciężka cisza. Hirdmani milczeli ponuro. Ktoś ciężko westchnął, ktoś zapłakał bezgłośnie. Wergundowie i krasnoludy zaciskali zęby, szukając słów pocieszenia, które nie istniały w żadnym z języków. Zza rzeki niczym grzmot, odległy i zduszony przez opar snującej się mgły, dochodził głos bębnow. Ktoś wreszcie odważył się zwerbalizować to, o czym wszyscy myśleli.

- To byli nasi bliscy, nasze domy... O co teraz mamy walczyć...?

To pytanie zawisło w powietrzu i nikt z dowódców, ani Sigbert ani Bryn nie odważyli się na nie odpowiedzieć. Od strony fortecy Arden słyszeć było rogi i trąbki. Wzywano hirdy do ordynku, zaczynała się bitwa.

A oni stali sparaliżowani wtedy tym pytaniem, pomyślał Bryn. Wtedy pierwszy raz wpadło mu do głowy, że ich wariacka eskapada na pogorzelsko, która nie napotkała żadnych przeszkód, w istocie była doskonale przez kogoś zaplanowana, animowana i pożądana. Ktoś chciał, aby teraz stali ze ściśniętym gardłem, próbując sobie odpowiedzieć na to pytanie i wiedząc, że nikt nie da im tej odpowiedzi. Bo o co mieli walczyć...

- O ich domy.

Chrapliwy, niski głos kogoś, kto płakał ostatnie dwie doby, zabrzmiał nienaturalnie, jak jakiejś zjawy. Ingraine stanęła za nimi po cichu, jak to miała w zwyczaju, płaszcz zsunął się z jej ciemnych włosów, odsłaniając szerokie białe kosmyki, których jeszcze kilka dni temu tam nie było i zapuchnięte, zapewne od zimnego wiatru, oczy.

- O ich domy – powtórzyła, pokazując ręką na obozowiska pozostałych hirdów – O każdy jeden dom na północ od rzeki, aż po Wysokie Ziemie i dalej. Bo jak na chwilę odpuścimy... – dodała ciszej – to będzie znaczyło, że umarli bez sensu... – głos jej się załamał i myśleli przez chwilę, że rozplacze się jak dziecko, ale przetarła twarz dłonią i rzuciła – Zdaje się, że się zaczyna... Hird Sliabh Ard! Do szyku!

I tak koniec końców rzeczywiście doszliśmy na Wysokie Ziemie, chociaż wtedy jej słowa były kompletnie abstrakcyjne... Bryn uśmiechnął się w duchu, bo na rzeczywisty uśmiech w sumie nie

miął sił. Wtedy wyglądali jak umarli, tak się czuli po tym, co zobaczyli na Wzgórzu. Teraz już wiedział, że umarli wyglądali inaczej. Widział ciała towarzyszy, gdy je znoszono z kontr-fortu, pocięte mieczami z obsydianu. Miecze z obsydianu nie mają jednolitego ostrza tylko zęby, jak wielka piła, więc to nie był ładny widok.

Spraw, żeby to miało sens, powiedziała Ingraine.

Wergundia się nie poddaje, powiedział Arden.

Nie bądź egoistą, powiedziała Inga.

Wszyscy na raz odezwali się w jego głowie gdzieś na pograniczu nerwowego snu. Fort i barykada zmaterializowały się przed jego oczami w sennym widziadłe, zmieniając się jak w kalejdoskopie ze wspomnieniami Arden.

Zagrzmiały rogi, tym razem potężniej, wielkie trąbity na wieżach fortecy.

- Z fartem – uśmiechnął się Dhus, szturchając towarzyszy, którzy wraz z nim zbierali się w miejsce, gdzie miała stać VI. kondotierska czarnego tymenu – Na pohybel skurkowańcom. Macie nas u boku, tego nie da się przegrać!

Miori zgromił go poważnym wzrokiem i klepnął Ingraine w ramię, wywołując na jej twarzy cień uśmiechu.

- Głowa do góry, mała. Chwila zemsty blisko – huknął z sobie właściwą emfazą. Tryntyjka uniosła brew w charakterystycznym grymasie.

- Krasnoludzie – mruknęła – Mała to jest twoja pała, a ja jestem niewysoka. Utrzymajcie się tam... – ucisnęła mocno każdego z przyjaciół, nim odeszli na swój posterunek, dźwigając wielkie pawęże jakby ważyły jak piórko.

- Żartujesz? – zawołał na odchodnym Haakon – To nas trzeba będzie tam trzymać, żebyśmy nie wyszli z szanica im wpier...

- Dobra, dobra, spadaj już! – zaśmiał się Sigbert, dopinając karwasze - Wergundowie, krasnoludy, cholera, na co nam przyszło. Poszli!

Od zachodniej strony, zza przeprawy, słyhać już było charakterystyczne okrzyki wergundzkich setników, ustawiających kohorty. Wergundowie, na wyraźne życzenie dowódców, objęli brzeg zwany „zachodnim”, przylegający do południowej flanki fortecy, chroniony jej wysuniętymi rawelinami. Granicą ich pozycji był zachodni przyczółek promowy, kamienna zwarta budowla bastionowa, chroniąca bezpośrednio samej przeprawy. Na obydwu przyczółkach, rozłożonych strategicznie tak, aby miały otwarte pole na przeprawę, wały i mosty, ustawiały się oddziały magów bojowych. Mgła niosła zaśpiew inkantacji rytuałów i delikatny odgłos wyładowań, towarzyszący pobieraniu many.

Bezpośrednio przed przeprawą ustawiono pancerny hird Vardenów, złożony z ciężkozbrojnych skjoldberów i toporników z „fiordami”. Powiewały nad nimi jasne proporce z czarnym toporem, na czele wprawne oko mogło łatwo znaleźć odzianego w zielony kaftan narzucony na kolczugę Torleifa Vardena, kuzyna księżnej, najpotężniejszego możnowładcę Przedgórza. Towarzyszył im odziany w żelazo oddział paladynów modwitowych, odzianych w żelazo i zbrojnych w migdałowe tarcze.

Za nim rozłożone na czwórramiennym barbakanie ustawiały się kusze i łuki hirdu Neimhide. Scymgeur i Bannonburgh zajęli kontr-fortecę po drugiej stronie doliny i traktu, najmłodsze z wszystkich umocnień Arden. Wybudowano ją tak, aby uniemożliwić szarżę ze Wzgórza Leifa, taką, jaka przed laty zmiotła z pola tryntyjskie oddziały boendrów. Teraz ostro wcięta ostroga przyczółka i

jej przylegające bastiony, tnące przestrzeń na sektory, nie pozwoliłyby żadnej kawalerii na wzięcie tu rozpędu, a szarża skończyłaby się masakrą w wilczych dołach i fosach szańca.

Podobnie zmieniły się wybrzeża Rany, teraz strzeżone rozłożonymi regularnie redutami, łączonymi ze sobą ciągiem krytych dróg. Gdyby Qa zechcieli przeprowadzić się niczym niegdyś Elmeryk, ich desant utonąłby pod ostrzałem z wysokiego północnego brzegu, gdzie rozłożyły się hirdy Akadów i Sewbergenów.

Pomiędzy nimi, a wschodnim przyczółkiem, pod proporcami hirdu Borgh Du, stali zbrojni z Wysokich Ziem, ludzie Hersteina Halfdanssona, w większości lekko odziani skjoldzi, beskytterzy zbrojni w topory i wojownicy z wielkimi dwuręcznymi mieczami. Uzupełnieniem obrony brodu były dwa przyczółki osadzone na wyspach na rzece,

Między głównym zamkiem a kontr-fortecą dumnie rozwinęła szyki kawaleria Dunharrow. Łopocząc sztandarami i proporcami wyglądali dumnie i książęco, chyba tylko szalenięc byłby gotów postawić stopę na portowym nabrzeżu – pozycje konnicy od miejsca, gdzie lądowały promy i łodzie, dzieliło kilkaset metrów otwartego, opadającego ku rzece terenu. Jeden rozkaz i kopyta kawaleryjskich koni mogłyby płukać się w rzece z miazgi, którą zostawiłyby za sobą. Z tyłu, pod murami fortecy, łopotał złocisty sztandar, a pod nim lśniły od rosy i mgły pancerze i kolczugi książęcego hirdu Gryfa, najbardziej elitarnego oddziału w całym Tryncie.

Hird stanął w zwartym szyku, przed nim konno, pod sztandarem swego klanu, stanął laird armii i jarl Gryfów, małżonek księżnej, OlvadrTryggvason Skaggirad, najbardziej szanowany i wielbiony z dowódców tryntyjskich. Powyżej, na wysuniętym niczym ostrze szczytu bastionu, tuż pod łopoczącym gryfem, widniała otulona w szkarłatny płaszcz drobna postać. Srebrzyste włosy i srebro korony, którą nosiła, spletały się w jeden blask okalający jej twarz i z perspektywy hirdu Sliabh Ard, ustawionego na samym brzegu rzeki, wyglądała jak nieziemski, potężny istota. Księżna Sigdrine Auddottir Varden.

Gdyby ktoś podążył za jej wzrokiem, zobaczyłby, że patrzy na górujący nad całą fortecą i jej przedpolem szczyt wzgórza, na którym czerniały dwie linie obelisku z czarnego granitu. Pomnik Rangveig. I pomnik Leifa Einarsona zarazem. Dwojga legendarnych obrońców Tryntu. O czym myślałaś wtedy, pani... zastanowił się Bryn. Jak wielką presję musiałaś odczuwać. Czy dorównasz bohaterskiej władczyni sprzed dwóch pokoleń... Czy twój dowódca, o którym od dziesiątek lat cały Trynt śpiewa pieśni, czy byłby dumny z ciebie... Jakie myśli krążyły w głowie, noszącej ciężar Żelaznej Korony...

Nasze myśli były wtedy prostsze. W dźwięku trąb i rogów, w łopocie sztandarów, w huku bojowych okrzyków czuliśmy wtedy potęgę, która uskrzydlała nas euforią. Styria rozbita, Wergundia na kolanach, ale potęga z Zapołudnia na nas połamie sobie zęby! Pomścimy Wzgórze, pomścimy nasze spalone zamki i pomordowanych krewnych, a sztandar z gryfem zatknijemy na pice, zwieńczonej głową waszej szamanki...

Tak, Bryn doskonale pamiętał ten moment. I nawet znając wszystko, co nastąpiło potem, nie zamieniłby tej chwili w pamięci za żadne skarby.

Ich potężny jak grzmot okrzyk zdawał się rozwiewać i rozpraszać unoszący się nad doliną Rany gęsty opar. Z opóźnieniem zrozumieli, że to nie moc ich gardeł. To ktoś po drugiej stronie rzeki, ktoś kto włada mocą natury, wodą i wiatrem, tak sprawnie, że rozprasza mgły ruchem dłoni. Zobaczyli ją pierwszą. Stała samotnie na południowym brzegu. Rana w miejscu przeprawy jest szeroka na ponad 80 metrów, ale widzieli ją dokładnie, jej postać, jej długie włosy, unoszące się nad nią jak płomienie. Patrzyła na nich ze smutkiem, na obrońców Arden, i każdy z nich nagle niczym olśniewające objawienie ujrzał w umyśle jej słowa. „Nie chcę z wami walczyć.... Poddajcie się”.... Odziana w białą prostą suknię o dziwnym kroju, zdobna w wielki wysadzany błękitnymi klejnotami kołnierz, dotknęła bosą stopą wody, zrobiła dwa kroki, zanurzając w nurcie Rany uzbrojone w masywne bransolety i pierścienie dłonie.

Jakim cudem widzieliśmy to w takich detalach, zastanowił się Bryn. Jej piękną bladą twarz i upiornie białe oczy, nawet takie szczegóły, jak wzór na diademie, którego środek stanowił olbrzymi minerałowy kryształ.

Wergundowie. Oni wtedy uratowali sytuację. Znali te ich sztuczki znacznie lepiej niż my. Stojąca na czele paladynów rudowłosa Aslaug uniosła do góry sztandar i srebrną włócznię i machnęła nią kilka razy. Jak na komendę od zwartych szeregów czarnego tymenu usłyszeliśmy pomruk, który powoli rozwinął się w niski, potężny zaśpiew.

*Coś z fal zielonych czarne twierdze wznosił
I miecze szczybił na itaryjskiej bramie
Hufce styryjskie na południu korzył
I wiódł pod Arden Elmeryka ramię....*

Pieprzona ironia... Duch Elmeryka będzie wspierać obrońców Tryntu, pomyśleliśmy wtedy.

Postać Neyestecae zmałała i rozmyła się, ale wciąż widzieli ją wyraźnie. Uniosła się lekko nad wodą, wstępując na jakąś platformę, po czym uniosła kamienną buławę. Mgły na jej rozkaz rozstąpiły się jak rozsunięta mleczna zasłona.

Śpiew zastępnął w gardłach Wergundów, zanim dotarł do linijki, gdzie stało „trwać będzie wiecznie chwała Akwirganu”, Tryntyjczycy również zamilkli.

Na drugim brzegu, jak okiem sięgnąć, po sam horyzont, wzdłuż wybrzeży, na wodzie i na okolicznych wzgórzach, stały wojska Qa. Nieprzebrane mrowie wojowników. Ludzka ciżba pokrywała doszczętnie cały teren, dając złudzenie, iż wszystko aż po granice pola widzenia, drga i porusza się na rozkaz ręki Szamanki.

Ona stała na brzegu, lekko przekrzywiwszy głowę, na której pojawił się już olbrzymi, biało złoty pióropusz, jakby chciała powiedzieć „Widzicie... ostrzeżałam”.

Wzdłuż brzegów widać było setki i tysiące niewielkich łodzi, załadowanych ludźmi, pływające platformy, przygotowane do osadzania w dnie wielkie słupy. Na dalszym planie echo niosło okrzyki „hokka hey” i rżenie koni.

Wtedy chyba, pomyślał Bryn, wpadło nam do głowy tak naprawdę pierwszy raz, że nie mamy najmniejszych szans.

Bitwa trwała pięć dni.

Nie pchali się do bezsensownych szturmów, nie próbowali szalonych przepraw. Metodycznie, spokojnie, metr za metrem budowali przeprawę. Jak w klepsydrze, ziarnko do ziarnka. Atak, prowadzony z pokładów zwrotnych i szybkich łodzi absorbował obrońców. Nie można był lekceważyć tych uderzeń, kilka razy, niepowstrzymani, wdarli się aż pod barbakan, więc każdy taki szturm skupiał na sobie uwagę obydwu przyczółków, które dodatkowo były atakowane ścianą ognia z pływających platform, zakotwiczonych na linach powyżej przeprawy.

Dziesiątki razy udało się je zatopić. Dziesiątki razy podpływały nowe.

Kilkakrotnie udało się zorganizować kontruderzenie, zniszczyć słupy, rozwalić budowle, wyciąć budujących. Kilkakrotnie w błyskawicznym tempie most rósł w oczach.

Mgła jak na życzenie pojawiała się, gdy trzeba było maskować działania oddziałów inżynierskich, i znikła, by zaprezentować obrońcom kolejny stracony metr rzeki. Przeprawa została domknięta trzeciej nocy.

I wtedy dopiero zaczęła się właściwa bitwa.

Pierwsze padły obie wyspy. Właściwie wycofano stamtąd oddziały całkiem planowo, z pełną świadomością, że nie mają szans się utrzymać. Potem, gdy w kłębach mgły słysząc już było słupy wbijane w dno niemal, jak się zdawało obrońcom na wyciągnięcie ręki, zaczęła się wściekła kanonada z naszych przyczółków, desperacka, bo każdy dowódca wiedział, co zrobi w tym momencie przeciwnik, co musi zrobić, aby budowę mostu zakończyć.

Pod osłoną nocy ruszył szturm na wybrzeże, przeprowadzony z setek małych łodzi. Poszli do walki wojownicy Qa, odziani w stal, poszli rozmaitej proveniencji najemnicy, poszli wreszcie przywleczeni tutaj groźbą ludzie z podbitych krain, choć oni akurat byli najmniej groźni. Co było groźne naprawdę, poznali aż za dobrze przez następne dwie doby.

To był świt, piątego dnia bitwy. Qa zdobyli wschodni przyczółek, zachodni, ten w rękach wergundzkich, bronił się zawzięcie. Krasnoludzka VI. kohorta kondotierska zastawiła pawężami przedpole reducy mostowej, broniąc jednocześnie dostępu do bastionów samego zamku. Nieco powyżej nich II i III kohorta, obie mocno przerzedzone, próbowały nie dopuścić do szturm w kierunku barbakanu i centralnych przyczółków broniących bram zamkowych, wspomagając lewe skrzydło hirdu Vardenów. Dopóki Wergundowie bronili reducy, pełen szturm na barbakan był niemożliwy. Wciąż nienaruszona stała kawaleria, za to Sliabh Ard trzymali pozycję z trudem, utrzymując się pod ostrzałem lutha'yaro, którzy zajęli wschodni przyczółek.

- Patrz! – Sigbert szturchnął Bryna go w ramię, pokazując wyłaniające się z lewej strony reducy chorągwie – No to mamy ich też z drugiej strony.

Ingraine, która też zauważyła ciężką piechotę, zbrojną w potężne giewie i gizarmy, momentalnie kazała dać w róg, by odwrócić własną lewą flankę. Zanim zdążyli jednak wykonać manewr, zasypał ich grad strzał. Świsł pocisków, stukot uderzeń grotów w deski tarcz, krzyki trafionych przez chwilę sparaliżowały ich działania.

- Podwójna linia! Tarcze w górę! – krzyki hevdinga przebiły się przez syk lotek i chaos – Dalej! Skjoldvegg! W górę tarcze! Nad głowę, kryj głowy!

Wtedy pomiędzy nich wpadł goniec, chłopiec z hirdu Sewbergen, pokrwawiony i zdyszany, runął pomiędzy tarczowników, którzy natychmiast wciągnęli go pomiędzy szeregi. Ingraine ruszyła część lewej flanki, domykając sprawnie półkole, oparte o skaliste podnóże Wzgórza Leifa.

- Idą od przeprawy zachodniej! – krzyknął Sigbert, powtarzając jej słowa gońca – Trzeba wysunąć się powyżej skałek, bo nam spadną tu na głowy.

Hevding spojrzała na stok, przypadając nisko pod czarno-czerwoną tarczą. Tuż obok jeden z hirdmanów nie zdążył i runął na plecy z pierzastym bełtem wbitym w stal hełmu. Bryn nie miał czasu zastanawiać się wtedy nad siłą naciągu łuku, z którego pocisk przebija dwa milimetry stali. Spojrzał na wzgórze, ponad nimi wciąż niezwiązani walką stali gjetery i górale z Wysokich Ziem. Ingraine przez chwilę patrzyła na nich – musieli lepiej widzieć sytuację na zachodniej przeprawie, ale nawet stąd gdzie stali było widać unoszący się nad reductami dym i płomienie. Jednak od strony hirdu Borgh Du rozległy się nagle rogi, sztandary z pękiem oszczepów w znaku pochyliły się i wojownicy w sprawnym szyku zbiegli ze wzgórza.

- Co oni robią? – Bryn przekrzyczał się przez krzyki walczących – Atak idzie od wschodu...

- Nie idzie! – odkrzyknęła Ingraine, która właśnie zrozumiała – To finta, zmyłka, atak pójdzie na Wergundów! Muszą cofnąć kohorty spod barbakanu na wybrzeże, bo stracimy zachodni przyczółek. Dawać mi gońca! Leć do Aslaug! Już! Niech przesuną ludzi spod barbakanu na zachodnią reductę! Szybciej!

Goniec pomknął, a oni wtedy skupili się na walce na swoim odcinku. Dopiero rosnący od zachodu hałas zwrócił ich uwagę.

- Ingraine! Patrz!

Powyżej nich od barbakanu maszerowała w ich stronę III kohorta, oddelegowana do wsparcia wschodnich redut.

- Jasny i pieprzony szlag! Co oni robią?! Powinni iść dokładnie w przeciwną stronę!

- Gdzie jest nasz goniec? Nie dotarł?

- Dotarł – odparł Sigbert, pokazując coś na jasnym murze barbakanu – Patrz...

Wysłany młodzieniec, widoczny doskonale z zarzuconą na plecy tarczą w ich barwach stał na wysuniętym narożu muru, na samej jego krawędzi. Doskonale widzieli, jak obejrzał się w ich kierunku, machnął ręką, jak na pożegnanie. Wergundowie, zajęci walką, chyba nie zwracali na niego uwagi. Ingraine zakłęła. Sigbert z niedowierzaniem pokręcił głową. Therstein, tak miał na imię posłaniec. Był z osady za Wzgórzem. Znali jego rodzinę. W przedłużonym dziwnie momencie usłyszeli bębny, miarowe, potężne, jakby nagle zwolniły uderzenia, jakiś śpiew... Posłaniec runął w dół z muru i zniknął w ciżbie wojowników.

Spojrzeni po sobie z absolutnym niezrozumieniem, ale nie mieli czasu się zastanawiać. III kohorta poszła dokładnie w przeciwnym kierunku niż należało. Potem poszło wszystko już jak rozpędzona lawina.

Do brzegu dobiły wielkie łodzie, wysadzając na brzeg oddziały, taszczące jakieś worki. Jednocześnie nad mostem zawisła ciężka mgła, w której dźwięk bębnowy niósł się złowrogo, przerażając się w miarowy rytm kroków. Z mgły wyłaniały się kolejne oddziały opancerzonej w stal piechoty.

W błękitnej mgle słychać już było rzenie koni i tupot kopyt, w zniecierpliwieniu krzeszących iskry z mocujących most bratniali. Szła Samnia. Za nimi dobijały kolejne łodzie, wysadzając pancerne oddziały zbrojnych, wzdłuż całego wybrzeża zapłonęły ognie bitwy.

Nasza kawaleria ruszyła za wcześnie. Powinni byli odczekać, aż pancerna piechota ruszy na barbakan, bo tam właśnie musiała ruszyć, tam gdzie przed sobą miałyby paladynów Modwita i II kohortę, a przede wszystkim nienaruszalny hird Varden, a po lewej kondotierską i krasnoludy od Hakona i Mioriego, prawy bok musiałby zostać słabszy, odsłonięty. Zamiast we flankę związanego walką oddziału konnica nadziała się za to na czoło, trzymane przez pikinierów. Uderzenie Dunharrow rozbiło się jak fala o szereg Qa, Vardenowie nie zdążyli dobiec, zresztą nawet nie mogli, bo konnica przecięła im częściowo drogę. A wystarczyło poczekać... Gdy potem szukano, nikt nie wiedział, kto przekazał zły rozkaz i od kogo on pochodził. Jarl i hevdingowie zarzekali się, że nie od nich.

W chwilę później zemścił się kolejny błąd, kolejny rozkaz... VI kohorta niepotrzebnie zostawiła wygodne pozycje i ruszyła do ataku mocnym klinem. Uderzenie przełamało linię przeciwnika, co było do przewidzenia, i utknęło, nie mogąc się wycofać. Pancerni runęli im na flankę.

III kohorta w porę zauważyła własny błąd, spowodowany rozkazem, który niewiadomo skąd przyszedł, i zawróciła ku mostowi, schodząc po prawej flance naszego hirdu. Zanim przebili się przez skałki pod pełnym ostrzałem ze wschodniej reduty, została ich połowa, a na oddzielonych przez skalną skarpę uderzyły od przeprawy samnijskie arbany, zanim zdążyli ustawić szyki i umocnić pozycję. Markowane uderzenie od wschodniej przeprawy szybko okazało się prawdziwym, gdy tylko oddziały wergundzkie, kierujące się w tamtą stronę, zawróciły pod barbakan. Tym samym III kohorta, która utknęła pod ostrzałem przy skałkach, znalazła się w potrzasku.

Hird Sliabh Ard naciskany przez idące spod wschodniego przyczółka oddziały, cofał się z kolei do centrum, próbując utrzymać zwarty szereg. Podwójna linia tarcz chroniła w miarę głowy przed ciosami potężnej broni, glewi i toporów na długim trzonku. Huk uderzeń o tarczę, trzask magii i wrzaski upadających zagłuszały rozkazy. Ciała padających towarzyszy stanowiły barykadę, za której Ingraine nie bardzo chciała się cofać, bo zmuszała przeciwnika do ostrożnego stawiania kroków, Qa tracili równowagę, odsłaniaли się, a wtedy z rzadka, raz na czas, udawało się któregoś trafić wysuniętą spod tarcz włócznią. Jednak nie dało się utrzymać pozycji dłużej niż chwilę, cofali się więc, aż wreszcie oparli się plecami o Wergundów.

W tylnych szeregach wprowadziło to chaos, tarczownicy z pierwszej i drugiej linii zapłacili za to zamieszaniami w sjoldveggu i śmiercią wielu wojowników. Gdzieś powyżej nich, z barbakanu, słyszeli dźwięki rogów, to Dunharrow próbowali wycofać kawalerię.

Za późno, pomyślał wtedy Brynjolf, który ze swojej pozycji widział lepiej schodzący w dół ku samej przeprawie teren. Konnica utknęła w wąskim gardle doliny, na której stoki wdarła się już lekka samnijska jazda, wypełniając szczelnie luki między oddziałami i uwijając się wszędzie tam, gdzie mogła szarpać plecy obrońców.

Nieosiągalne, żebyśmy to przegrali. Nieosiągalne. Poniżej siebie wciąż widział towarzyszy, Sigberta, który ciągle nie nauczył się trzymać tarczy blisko ciała, Ulvera, Hamisha, Thyrbjorna, widział okularowy hełm Ingraine, która zeszła do pierwszej linii i stamtąd próbowała utrzymać szyk w zwarciu. Nieosiągalne. Powyżej nich wciąż trzymała się kontrforteca, wciąż walczyli na stokach Wzgórza Leifa, poniżej pawężnicy krasnoludów okopali się w czworoboku i nie dawali się w żaden sposób nadgryźć atakującej zewsząd piechocie Qa. No i zamek, był przecież jeszcze zamek.

Wtedy ich zobaczył.

Mgły nad rzeką rozświetliły się błękitnym światłem, przestrzeń zabarwiła się błękitem, rozbłysnęły w niej ogniki, jak drobne wyładowania elektrostatyczne, migocząc pięknym refleksem po czymś stalowym. Po czymś, czego było wiele. Ciężki krok oddziału dudnił na deskach.

Na początku ujrzeli tylko odzianych w płytowe zbroje wojowników. Tylko błękitne wyładowania odróżniały ich od zwykłych żołnierzy. Dopóki nie weszli do walki.

Nieśmiertelni. .

To był koniec bitwy.

Bryn patrzył z niedowierzaniem na ponure, upiorne widowisko. Na jego oczach VI kohorta przestawała istnieć, szereg pawęży poszedł w rozsypkę w kilka chwil, wrzaski zabijanych, którzy nie mieli jak się cofnąć by uciec spod ciosów wielkich mieczy, docierały aż pod skałki, na których stali. Samnijnicy metodycznie docinali wszystkich, którym udało się cudem wycofać z kotła.

Szeregi Sliabh Ard wymieszały się wtedy z szeregiem III kohorty, jak w jakiejś taniej symbolice, Wergundowie i Tryntyjczycy oparli się o siebie plecami, świadomi, że to ich ostatni szaniec. Jakby jakieś Norny z kiepskim gustem chciały zobrazować, że odtąd ich szeregi są jednym, a droga wspólna, a do tego prowadząca prosto w śmierć. Jeszcze przez całe kilkanaście minut, aż wykrwawiają się wszyscy na tym polu pod pancernymi stopami przechodzących Nieśmiertelnych. Bo do tego się to sprowadzało. Mogli się tylko bronić. Uwijający się za plecami szeregów uzdrowiciele nie mieli jak i dokąd odciągać rannych, więc desperacko próbowali łątać na stojąco.

Ale nie nadążali.

Uczucie, że nie może się poruszyć, prześladowało go w snach. Nie mógł zrobić kroku w tył, bo za nim stał wojownik, oparty o jego plecy. Nie mógł też do przodu, bo pod stopami leżeli polegli i konający, kolejni towarzysze. Ulver spod Białej Wody. Hamish Asmundson. Sigbert także padł trafiony po udzie, ale Ingraine odciągnęła go w tył, gdzie przejęła go wergundzka medyczka, która bez sensu i z uporem maniaka wciąż leczyła. Pamiętał jej oczy z tamtej chwili, oczy pełne desperackiego szaleństwa, gdy płacząc niemal w głos pakowała kolejne zakłęcia w ranę Tryntyjczyka.

- Dzięki, medyczko...

- Nawet nie jestem medyczką... – załkała, szarpiąc kolejnego, którego ktoś wypchnął za szereg od wergundzkiej strony – Cholera, Stern, ile razy będę cię łątać!

Jak myśmy z tego wtedy wyszli... A może nie wyszliśmy? Może polegliśmy wtedy, a reszta była jakąś upiorną iluzją... Nadal jest.

Nie wiedział, jak wtedy wydostali się z pola bitwy. Nie widział, bo w chwilę po tym, gdy zeskoczył ze skałki, oberwał toporem, który roztrzaskał mu tarczę.

Ocknął się dopiero po dwóch dobach, z diabelnym bólem głowy, którego wspomnienie do dziś go trzęsło. Najgorsze wiadomości dopiero miały nadejść. Przy ogniskach nikt już się nie śmiał. Długo w ogóle nikt się nie śmiał. Ogrom strat poniesionych pod Arden przytłaczał. Beładna ucieczka Chaos w szeregach. Przez dłuższy czas nikt nie wiedział, dokąd się kierować, gdzie jest hird Gryfa, gdzie księżna, gdzie laird.

Niewielu ocalało. Z dowódców on, Ingraine i Sigbert, z hirtu kilkudziesięciu. Kilkudziesięciu zostało z pięciuset wojowników Hirtu Książęcego Sliabh Ard. Dołączyli do nich Wergundowie z III kohorty i krasnoludy z VI., których towarzysze także zostali tam, na polach nad Raną.

- Kto mnie wyciągnął? – zapytał, gdy w końcu była okazja. Ingraine ruchem głowy wskazała tę medyczkę. Inga. Miała na imię Inga. Właściwie Andrea, ale wszyscy mówili Inga – I on – dodała, pokazując jednego z paladynów Modwita, potężnej budowy mężczyznę o długich jasnych włosach.

- Callan – uprzedził ten pytanie – Callan Strandbrand. I nie dziękuj, będzie okazja, to się odwdzięczysz.

- Jak stamtąd w ogóle wyszliśmy? – zapytał, skinąwszy głową mimowolnym podziękowaniem.

- Dzięki góralom.

- Co?

- Tym od Hersteina Borgh Du. Nie mam pojęcia, co mu strzeliło do głowy, ale podziałało. Zmienił linię natarcia w ostatniej chwili, odczekał, aż go miną i uderzył w bok pancernych. Odciął ich, a Vardenowie skończyli resztę, dzięki temu na chwilę otworzyli drogę przez Wzgórze Leifa. Mieliśmy kilka minut na wycofanie się. I udało się, jak widzisz. Kosztem... Dużym kosztem.

- Żyjemy – warknął Sigbert. Siedząca obok Inga podniosła się znad run, które układała i spojrzała pełnym dezaprobaty wzrokiem, ale się nie przejął – Żyjemy, więc możemy walczyć dalej. Zresztą, cholera... Choćbym miał zza grobu wracać, to wrócę, żeby skurczysynom dołożyć.

- Trzymam za słowo – uśmiechnęła się słabo Ingraine – Wergundia, a wy co? Teraz to chyba naprawdę nie macie dokąd wrócić... Idźcie dalej z nami?

- A dokąd mielibyśmy niby iść? – powiedział Arden Stern, wciąż jeszcze z zabandażowaną głową – Możemy walczyć o Trynt albo poddać się. I doczekać się niebieskiego znaczka na czole. Zresztą, patrz, to nie tylko Wergundia, zawędrowali tutaj ci, co jeszcze walczą z różnych nacji – Altaris, elf z gór Larion, Venissa, ciemnowłosa kapłanka Eldura z Laromatonu, Vela i Mathlan z Leth Caer, Iselith z Aenthil, krasnoludy z VI kohorty, Miori, Haakon, Dus, Marsis...całe to międzynarodowe towarzystwo miało iść wraz z nimi przez cały wypełniony klęskami szlak bojowy. Bryn pamiętał, że wtedy w to wątpił. Ingraine nie.

- Więc walczyć o Trynt – powiedziała w końcu wodząc wzrokiem po zmęczonych, ale zawziętych twarzach – Jeśli tylko potraficie walczyć pod sztandarem gryfa.

- Pod każdym sztandarem - Mathlan, niezawodny Mathlan ubrał w słowa to, co wtedy jeszcze wszyscy myśleli – byle nie białym.

Powinienem być tam umrzeć, na polu pod Arden, a potem tam, na kontr-forcie pod Silbrfjell. Uciekłem śmierci spod topora, tak, wygodna wymówka, „dla innych”, „nie bądź egoistą” powiedziała Inga... no dalej, powiedz sam przed sobą chociaż. Bałeś się śmierci...

Bezwiednie zacisnął pięści. Symbol na czole, którego wciąż nie dawało się zmyć, zaczął nagle palić żywym ogniem i zadawać nieznośny ból, przypominając o upokorzeniu kapitulacji. Jak żywy przed jego oczami powstał obraz.

Qa w czarno-błękitnym malunku na twarzy, zdobny w ogromny, ciężki pióropusz, pochylił się nad kolejnym klęczącym pod wielkim, białym sztandarem.

- Przyjmuję twój hołd – mruknął lekko znudzonym głosem deklarację kolejnego Tryntyjczyka, mówiącego zduszonym głosem o tym, że wyrzeka się swoich bogów – Opiekunowie przyjmują cię pod swoją ochronę – szepcząc niezrozumiale inkantacje przyłożył do czoła klęczącego wielki pierścień z minerałem. Klęczący syknął z bólu, zrobił gest, jakby chciał się zerwać. Ale zamiast tego opadł niżej, aż musiał podeprzeć się ręką o podłogę.

- Powstań – powiedział Qa. Tryntyjczyk wstał, z trudem ukrywając łzy w oczach.

Bryn przełknął ślinę i słyszalnie wciągnął powietrze, robiąc zdecydowany krok do przodu. Za plecami Qa przemknął czarny cień, przez chwilę zdawało się mu, że dostrzegł wyłaniające się zza nich czarno- czerwone barwy tarczy. Ale nikt nie stał za nimi. Tylko leżące na ziemi sztandary, pokrwawione i podarte, ściągały wzrok, niemal jak martwe ludzkie ciała, jakby wołali poległych, nad których głowami łopotały jeszcze wczoraj. Miecz Kilkeranów. Liść Dunharrow. Topór Vardenów... I złoty sztandar z gryfem. Gryfem Tradamonitów, gryfem Rangveig, gryfem Leifa...

Może to tylko jego strach nabrał kształtu. Tryntyjczyk podniósł oczy ponad głowę dostojnika Qa. Zbliżało się południe, niebo było intensywnie kobaltowe, skąpane w blasku palącego skórę letniego słońca. Nie było cienia, który dawałby choć chwilę ulgi. Ponad górskim stokiem, na którym stali, unosiły się kłęby dymu i pary, w których skąpana była forteca. Broniła się. Borgh Du ciągle się bronili.

- Ty - dłoń wojownika Qa była wyciągnięta w jego kierunku gdy otrząsnął się z nerwowych rozmyślań – Na kolana.

Za plecami nowego namiestnika Silbrfjell znów mignęła czarna plama, jak długie rozwiane włosy, przetykane białymi pasmami. Przyszłaś, pomyślał Bryn, dopilnować, żebym nie zrobił czegoś głupiego...? „To dobra propozycja” powiedziałaś tam, na kontr-forcie, gdy proponowali ci kapitulację „Jednak nie mogę na nią przystać, widzicie, kilka dni temu raniono mnie w kolano, noga mnie wciąż boli i zupełnie nie jestem w stanie uklęknąć”... Uśmiechnął się w myślach na wspomnienie kpiącego głosu swojego hevdinga. Nie zrobię niczego głupiego. Obiecałem ci, że przeżyję.

Po czym zrobił krok do przodu, uniósł głowę by spojrzeć w oczy dużo wyższego od niego dostojnika.

I ukląkł.

Miał wrażenie, że łomot kolana uderzającego o ziemię odbił się echem od górskich stoków. A może to wreszcie krasnoludy, może w końcu trójkąty ognia, może ratunek...

Żaden ratunek nie nadchodził. Forteca milczała w obłoku dymu i mgły.

- Przyjmuję waszą władzę – wydusił przez zaciśnięte gardło – i wyrzekam się ... moich... bogów ... i wiary w nich....

Qa zrobił krok do przodu, jego but ostentacyjnie stąpnał na sztandarze z gryfem. Stojąca obok niego wojowniczka obracała w dłoniach koronę, żelazną koronę tryntyjską, wydartą z rąk poległego Torleifa Vardena, wciąż noszącą ślady krwi. Bryn odwrócił głowę, ale dłoń dostojnika, który stanął tuż przed nim, zmusiła go aby spojrzeć na insygnia, a potem na rudą od rdzy klingę miecza z meteorytu, miecza ludu Laami, tego samego, który nie dalej jak wczoraj wręczał gotującemu oddziały do walki Hersteinowi. Przed chwilą jeden z wojowników przyniósł miecz z kontr-fortu, wyjęty z martwych rąk Sigberta.

Wciągnął powietrze, usiłując opanować narastający w nim gniew.

Nie rób tego, Bryn, do cholery, przeżyj, krzyknął w jego umyśle głos Ingraine.

Nie zrobię.

Pierścień z wielkim kamieniem z Minerale dotknął czoła Tryntyjczyka, a ten miał wrażenie, jakby kamień wbił się w jego czaszkę, przebijając skórę i kość. Z trudem powstrzymał krzyk bólu i

zmusił się, aby się nie pochylić, choć odruchowo zrobił gest, jakby chciał otrzeć krew z czoła. Nie było tam krwi. Qa cofnął rękę.

- Przyjmuję twój hołd, Brynjolfie Sliabh Ard – jego głos był niespodziewanie łagodny – Walczyłeś dzielnie przeciw nam i zdobyłeś nasze uznanie. Mamy dla ciebie więc osobną propozycję... Przyjmij jako zaszczyt tytuł namiestnika tych ziem z ramienia Neyestecae, władczyni całej ziemi...

Bryn wstał. Z trudem, bo ziemia przyciągała jego kolano, jakby było z ciężkiego kamienia, naznaczone błękitnym znakiem czoło paliło żywym ogniem. Ale wstał. Poprawił własny miecz i patrząc w oczy dostojnika odpowiedział.

Gdy wychodzili, nie mógł nie usłyszeć, jak kolejna grupa padała na kolana przed znudzonym i zblazowanym dostojnikiem. Nie mógł nie usłyszeć zadawanego jeszcze raz pytania.

- Czy przyjmiesz więc zaszczytny tytuł namiestnika tych ziem?

Człowiek, którego Bryn nie znał i nigdy wcześniej nie widział, odpowiedział:

- To dla mnie zaszczyt, panie.

Tryntyjczyk zaśmiał się gorzko i odwrócił ku wojownikom, którzy pilnowali odebranej kapitulującym broni. Dostrzegł ich porozumiewawcze spojrzenia o parę sekund za późno.

- Obiecaliście, że pozwolicie odejść wolno i z bronią – warknął, gdy pochwycili go za ramiona. Zanim rozbłysło mu pod powiekami od uderzenia, usłyszał jeszcze:

- Pozwolimy. Ale nie tobie.

Przeraźliwe zimno zwiastowało nadchodzący świt. Szarzejące niebo pozwoliło mu odzyskać orientację w kierunkach. Szczękające zęby nie pozwalały się skupić na odgłosach, a wiatr nieco ucichł i można by było sprawdzić, czy teren czysty.

Usiłując nie odwijać z siebie płaszcz, Brynjolf uniósł się nieco, ostrożnie rozejrzał. Pomiedzy bezlistnymi drzewami unosiły się gęste opary, w których trudno było cokolwiek dostrzec. Odrętwienie, senność, zimno. Byle móc się ruszyć, rozprostować nogi, rozgrzać. Niemal zapominając o niebezpieczeństwie podniósł się bardziej.

I popełnił błąd, noga podparta o korzeń zsunęła się na wyschniętą gałąź, ta strzeliła głośno, aż echo odbiło się od bukowych pni. Bryn znieruchomiał, nagły wyrzut adrenaliny sprawił, że przez chwilę przestał czuć zimno. Już prawie uwierzył, że jednak nikt nie usłyszał, gdy nagle we mgle rozległo się donośnie:

- Baina! Baina! Tam jest! – Samnijczycy. Zerwał się, zapominając o odrętwieniu, niestety mięśnie nie zapomniały, więc po pierwszym kroku wyłożył się jak długi, boleśnie tłukąc o kamienie. Ale zerwał się natychmiast. Nie ma mowy, pomyślał, nie dostaną mnie po raz drugi. Adrenalina pulsowała w żyłach, gdy zerwał się do biegu, miał wrażenie, że porusza się jak w zwolnionym tempie, jakby coś pętało mu nogi. Potknął się, raz, potem kolejny.

Byli tuż za nim. Gdy przemarznięta ręka zsunęła się z korzenia, którego się złapał, poturlał się kilka metrów w dół, niemal pod nogi pościgu. Już widział unoszoną nad nim samnijską szablę.

Ale cios nie padł. Samnijczyk, który go dogonił, zatrzymał się w połowie ruchu, wskazując na coś poza plecami Bryna, w gęstej lodowatej mgle. Bryn odwrócił się, ale nie dostrzegł tam niczego, choć przez chwilę na granicy wzroku zdawało mu się, że widzi jakieś postaci. Nie miał czasu się nad tym zastanawiać. Rzucił się do ucieczki.

Izcuahtli, dostojnik Qa, Obsydianowy Orzeł nad Głowami Wrogów, był szczerze zmęczony. Nienawidził tej ceremonii. Widział upokorzenie tych ludzi, widział ich tłumioną rozpacz i nienawidził

sam siebie za rolę, jaką przyszło mu grać. Jednocześnie rozumiał, że tak musi być, że jego zaplanowane, wystudiowane ruchy mają znaczenie dla ich morale, dla ich ducha. A każdy sukces na tym polu to jakieś oszczędzone życie w walce. Więc z chłodną premedytacją stawiał stopę na złotym sztandarze z gryfem i prezentował zabytkowy miecz z meteorytu.

Z ciekawością zresztą sam mu się przyglądał w chwilach przerw między przyprawianymi grupami miejscowych. Stał o twardości, jakiej dotychczas nie widzieli, obrobiony w taki sposób, że ciał jak szmatę stalowe pancerze Nieśmiertelnych. Do tego całkowicie odporny na magię minerału. Trzeba będzie przeprowadzić badania tego przedmiotu, to pewne.

Kolejną grupę wprowadzono właśnie do sali. Izcuauhtli westchnął i podniósł dłoń z pierścieniem – nawet on odczuwał emanację od tego przedmiotu, moc Opiekunów, której sam się bał. Przyłożony do czoła miał moc związania myśli i intencji z Opiekunami, pod warunkiem jednak, że wcześniej klarowną deklaracją woli człowiek otwierał się na ich moc. Naznaczenie bolało, tylko wtedy jednak, gdy wola nie była do końca złamana. Raz założone, nie było możliwe do zdjęcia, ani przez noszącego ani nikogo innego prócz najwyższych kapłanów Opiekunów. Naznaczony nie podlegał bezpośrednio woli Qa, nie był opętany ani obserwowany, jak głosiły roznoszone wśród mieszkańców Tryntu plotki. W razie potrzeby jednak najwyżsi kapłani mogli zlokalizować i zabić takiego człowieka, a gdyby wystąpił on bezpośrednio przeciw Opiekunom, byłby przez kapłanów jasno widziany.

Wprowadzani zdawali się bać samego naznaczenia i znaczenia tego czynu, podchodzili powoli i mówili niewyraźnie, pomimo tego że starał się zachowywać łagodnie. Do tego diabelny harmider przy bramie i wartowni wprowadzał chaos.

Zniecierpliwionym ruchem ręki Izcuauhtli nakazał swoim ludziom wycieczkę na plac, by sprawdzić, co się dzieje.

- Opiekunowie przyjmują cię pod swoją ochronę – mruknął, zakańczając inkantację – Ty – wskazał następnego. Spojrzał na pełne wściekłości oczy i doskonale wiedział, co tamten robi. Taaaak. Styryjczyk.

- Uklęknij i złóż hołd opiekunom – powiedział, gotów na pokazową scenę.

- Nigdy – wrzasnął tamten desperacko, rzucając się w przód z nożem w ręce. Qa niedbałym, pewnym ruchem zbił cios, kopnięciem precyzyjnie wymierzonym w ścięgna pod kolaniem powalił młodzieńca na kolana. Jeden ze strażników poprawił trzonkiem topora.

- Po co to było... – dostojnik westchnął jeszcze raz, Styryjczyk, trzymany nisko przy ziemi rzucał się i próbował wyrwać. Nie było szans, aby go złamać teraz natychmiast, a więcej czasu nie było. Zresztą, manifestacja zawsze pełni dobrą rolę w takim przypadku. Izcuatluhtli nie wahał się, pewny, szybki i bezbolesny cios obsydianowego sztyletu wbił się w podbródek młodzieńca, dopchnięty dłonią zgasił jego życie szybko i bez komplikacji – Skończone wreszcie te hałasy... – z zewnątrz wciąż dochodziły nieznośne odgłosy zamieszania. Ludze w sali milczeli ponuro, patrząc na ciało towarzysza. Jedna z kobiet zaszlochała cicho, zaciskając pięści. Qa zanotował ją, spodziewając się kolejnych problemów, ale póki co ruszył ku drzwiom.

I niemal zderzył się ze swoim strażnikiem.

- Uciekaj, panie!- wrzasnął ten, nie dostrzegając chyba niestosowności tych słów padł na ziemię, zalewając ją krwią. Izcuatluhtli zmarszczył brwi i uniósł meteorytowy miecz.

Do sali wpadli wojownicy.

Nosili zielone kilty Borgh Du i Kilkeranów, niektórzy do tego zielone szarfy, przełożone przez pierś.

Błąd, pomyślał Qa. Zrobiliśmy błąd. Można było spodziewać się zbrojnego wypadu z fortecy, w momencie, kiedy ogień zmusił ich do odblokowania Przełęczy. Duży błąd.

Cofnął się na środek sali, unosząc miecz.

Na środek wystąpił niewysoki wojownik w kilcie w kolorze burej zieleni, unosząc w kierunku dostojnika olbrzymi dwuręczny miecz.

- Jestem Kettil Utenson Kilkeran. Rzuć broń.

Qa uśmiechnął się.

- Jestem Izcuatluhtli z ludu Qarnachasayosyran. Nie.

- Jesteś tu sam.

- A kilometr stąd stoi cała nasza armia. Pomszczą mnie na waszych ludziach, na jeńcach i cywilach. Nie groź mi, Tryntyjczyku.

Kettil lekko opuścił ostrze, jakby przekonany argumentem bezpieczeństwa cywilów. A potem spojrzął na sztandary, leżące na środku sali i uniósł je z powrotem.

- Oddasz broń i pójdziesz do fortecy w więzach Albo powlecemy tam twoje martwe ciało – warknął przez zaciśnięte zęby – Już!!

Qa zasalutował meteorytowym ostrzem i stanął w pozycji do walki, nie komentując już więcej sytuacji, dla której jedynym komentarzem mogła być krew. Zdawał sobie sprawę z położenia, ale liczył na to, że gra na czas da mu szansę, przyjdą posiłki, względnie Tryntyjczycy sami cofną się za mury. Cywile, którzy przed chwilą składali hołd, teraz kulili się przy ścianie i Izcuatluhtli bardzo żałował zmarnowanej roboty propagandowej.

Po pierwszym szczęknięciu ostrzy przestał.

Miecz Tryntyjczyka odskoczył, jak odbity wielką siłą, on sam zatoczył się w ślad za nim na centralny słup. Qa zrozumiał, jaką dzierży broń i zrozumiał, że odpowiednio długa walka i opór dadzą mu szansę. Intensywne myśli, jakie słał swoim, były słyszane, był tego poewien.

Kolejne zwarecie i odłamki z miecza Kettila przysnęły srebrzystymi iskrami po podłodze. Qa zaatakował serią ciosów, celując w miecz przeciwnika – po czwartym tryntyjskie ostrze pękło z jękiem, a wojownik Kilkeranów runął na ziemię, przetoczył się, zrywając natychmiast na równe nogi i wyszarpując nóż.

Izcuatluhtli uśmiechnął się kpiąco, prowokując przeciwnika, licząc na spektakl, który odstraszy następnych chętnych. Skupił się na nim, na tym, aby Tryntyjczyk zaatakował w gniewie, bezładnie, niestarczanie.

Skupił się na jednym przeciwniku.

I to był błąd.

Nie zauważył ciemnowłosej kobiety, która podbiegła za jego plecy. Nie zauważył, jak podeszła z obnażonym ostrzem myśliwskiego noża. Nie zauważył zadawanego ciosu, poczuł tylko przeraźliwy, paraliżujący ból, gdy ostrze wbiło się aż po rękonoś w nerkę.

Wrzasnął i opadł na jedno kolano, podpierając się na mieczu. Tryntyjczyk doskoczył i mocnym kopnięciem wybił mu z ręki miecz, natychmiast podnosząc broń z ziemi.

Z trudem panując nad odczuciem paniki Qa wzywał myślami pomocy, głośno zaś próbował wciąż ugrać jeszcze kilka chwil życia.

- Czekaj! Jeśli mnie zabijesz, zapłacą wasi ludzie. To nie jest groźba, Kettilu Utensonie, wiesz, że tak działamy...

- Przychodzisz tutaj –warknął wojownik – Zabijasz naszych ludzi, palisz nasze domy, burzysz nasze świątynie i po tym wszystkim śmiesz mnie szantażować, że pozabijasz bezbronnych...? Na kolana! – próbę podniesienia się na nogi zakończył uderzeniem, po którym Izcuatluhtli upadł na kolana.

- To szaleństwo, Kettilu... – jęknął, z trudem łapiąc powietrze. Kilkeran uniósł miecz.

- Szaleństwo? TO JEST TRYNT! – wycedził przez zaciśnięte zęby. Potężne kopnięcie w pierś obaliło na ziemię dostojnika Qa, a meteorytowy miecz zakończył jego życie, przybijając do drewnianej podłogi.

Kettil ciężko dysząc, czy to po walce, czy z wściekłości, odwrócił się do swoich ludzi.

- Znaleźć Brynjolfa i zwijamy się. Wszyscy, którzy nie zostali naznaczeni, idą z nami do fortecy!

- Nie ma go nigdzie.

- Szukać.

- Brynjolfa Gunnarsona pół godziny temu pojmano – odezwał się jeden z cywilów – Zabrali go gdzieś nieprzytomnego, w więzach.

Kettil skwitował to brzydkim przekleństwem.

- W którym kierunku go zabrano?

- Nie widzieliśmy, gdzieś w góry.

- Wyśledzimy – odezwał się jeden z tych z zielonymi szarfami, wysoki ciemnowłosego mężczyzna – Znajdziemy go, Kettil, ale teraz zwijajmy się, zanim tu wrócą. Dalej, za mury.

- O ile zdążymy, zanim go zatłuką, jak dwóch pozostałych – mruknął Kilkeran – Lepiej zacznijcie szukać już, Olafie. Dobra. Dalej, ruszać się, wracamy na fortecę. Biegiem!